



# Coś nadchodzi ze wschodu...

TEKST: WOJTEK STOJAK

ZDJĘCIA: MAŁGORZATA STOJAK

**Z**awsze mi się jakoś zdawało, że jeśli skądkolwiek nadejdzie jakaś jasność, jakieś opamiętanie ratujące ludzi przed cywilizacją, to nadejdzie stamtąd. Ze wschodu! Bo nie może się przecie żadna idea, zawierająca ludzi na drogę człowieczeństwa, zrodzić na kąpiącej pieniędzmi Piątej Avenue, w bankach londyńskiego City, w „upadłych dzielnicach” wielkich miast czy w Brukseli, czyli tam, gdzie, moim zdaniem, pieniądź zasłonił to, co naprawdę ważne w życiu człowieka. Ta światłość, jeśli się w ogóle zrodzi, zrodzi się gdzieś w nadniemeńskich puszczech, wśród krzywych karłowatych brzoź i pokurczonych olch na poleskich błotach, gdzie tam, gdzie ludzie, jak dawniej, wypalają węgiel drzewny, łapią ryby i stawiają sidła gdy są głodni, płodzą dzieci, a wieczorem kłękają przed ikoną, krzyżem lub bożkiem wystruganym z drewna dziękując za przeżyty dzień. To gdzieś stamtąd. Z mgły na Wschodzie wyjdzie Lew Tołstoj w chłopskiej sukmanie, jurodiwij z sękatym kosturem poprosi o chleb po zachodniej stronie Bugu i ruszą na Zachód niosąc odnowę, która nie będzie niczym nowym, tylko „starym”, pozwalającym przywrócić w schorzałym świecie równowagę pomiędzy nowoczesnością i ciężko wypracowaną przez stulecia człowieczą etyką. Być może już się zaczęło? Bo zdarzyło mi się coś, co nie powinno się zdarzyć.

Nadeszło z głębokiego zadupia, nieopodal białoruskich puszczy, gdzie po polach hulają czambuliki Tatarów i Servenedyjk, krzywymi szabelkami czyniąc strach taki, że wilki, dzikie wszak i krwiożercze istoty, schroniły się w ludzkich siedzibach, co znak na rogatce wiejskiej wędrowcom oznajmia.

Ale i tam, na Dzikich Polach, człowiek nie może normalnie żyć, czyli po prostu żyć. Człowiek musi się nazywać. Nazywa się Marek Ślósarski. Musi mieć adres i ma: wieś Wierzchlesie nieopodal cudami sławnej Sokółki. Ma ponadto sympatyczną żonę i dwa psy. Reszta danych personalnych, pesele, numere-

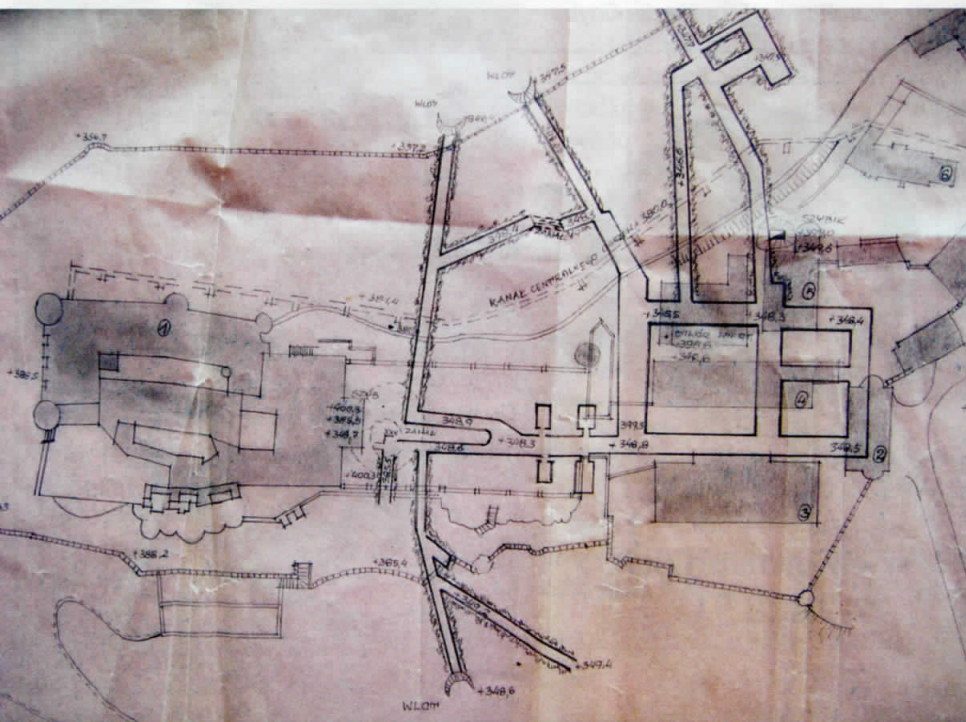
le i takie tam różne, są zastrzeżone i zgromadzone w licznych bazach danych dostępne tylko... no właśnie... komu... i po co? Ale to wszystko Marek musi mieć, by zgodnie z kłamliwymi sloganami o równości, miał prawo, jak inni, do posiadania karty kredytowej po to, by jak każdy nowoczesny Europejczyk mógł dużo, nawet na krechę kupować w Carrefourach, Tescach, Castoramach i całej reszcie, co się rozlały po świecie wyłącznie po to, by żyło ci się łatwiej i żebyś po ośmiu godzinach w fabryce mógł wreszcie być Europejczykiem, tzn. poświęcić wolny czas na picie piwa i sikanie pod murem (zauważcie, że sikanie jest jakoś mniej reklamowane w TV, a jest przecie nieodłącznym efektem picia piwa).

Wyruszył więc z Wierzchlesia Święty Mikołaj, albo raczej Dziadzia Mróz, bo czerwonej czapki Mikołajowej nie miał. Wyruszył dary różne wioząc, choć nie do końca wiedział komu dary te wszystkie przekaże. Jechał do mnie, choć ja nie wiem, czym na jego zaufanie zasłużyłem. Znał mnie z artykułów, w których, jak wielu z was sądzi, kłamie jak najęty. Wiem też, bo spytałem, dlaczego pozbywa się cennych dla siebie pamiątek. Marek – sześćdziesięcioparolatek odparł: – *Poczułem jakiś oddech na plecach!* A ja to doskonale rozumiałem.

Ja dostałem książkę o ptakach, kalkę zamku Książ z lat 80. i garść mosiężnych guzików różnych straży pożarnych, bo jeszcze nie mówiłem, że mój darczyńca całe prawie życie zawodowe związany był z pożarnictwem.

Drugi dar wzbudził wiele rozterek. Jest unikalny. Oddaję głos Markowi: – *Jest rok 1945. W Kątach, dziś zwanych Wrocławskimi, powstaje Ochotnicza Straż Pożarna. Jakaś tam ponemiecka remiza jest, błyszczące ponemieckie kaski są, ale co to za straż pożarna bez chorągwi? Niedługo różne rocznice, 1 Maja, pochody. Jakże to tak, bez chorągwi? Co robić? Co robić? I wymyślili! Gdzieś dopadli niemiecką chorągiew jakiegos związkzku, Vereinu czy innej organizacji, wypruli Hakenkreuz*

*i niemieckie napisy szwabachą, dziewczyny wyhaftowały „Ochotnicza Straż Pożarna. Kąty, 1945”, i po kłopotcie. Nikomu nie przeszkadzały typowo germańskie wieńce dębowych liści na płótnie. I tak trwały do czasu, aż jakiś aparatczyk nie wypatrzył śladów po niemieckich napisach, które ledwie, ale jednak, były widoczne. Nie wypadało! Wyhaftowano nowy, a po starym słuch zaginął na lat dwadzieścia pięć. W międzyczasie piąłem się w górę w hierarchii zawodowej i w efekcie wylądowałem w Warszawie. Gdy zmarł Komendant Główny i wywalano do śmieci jego rzeczy, zobaczyłem ten sztandar przeznaczony do wyrzucenia, więc łaps go pod pachę, i poszedłem. U mnie przeleżał lat trzydzieści, i pewnie by leżał dalej, gdybym nie poczuł tego oddechu na plecach. Postanowiłem oddać!*





A teraz o moich rozterkach moralnych. Jakikolwiek niemiecki sztandar, to dzisiaj fuks i pieniądze. A co ja będę skarbowów szukał, jak mi się same w ręce pchają. Wypruje się polskie napisy, walnie coś szwabachą, hakenkreuz na okrasę i na sprzedaż. Jak widzicie, plan był już gotowy, tylko nic nie trzeba mówić o moich kontaktach z Jerzym Grendą, założycielem Regionalnej Izby Pamięci w Kątach Wrocławskich. Upiłem herbaty i spojrzałem przed siebie. Siedzi naprzeciwko mój dobroczyńca. Zmęczony. Siwy łeb rozkudłany tak samo, jak mój. Z oczu pocziwość wyziera. Jak ja mu mogę coś takiego zrobić? Przecież byłbym świnia. I na co mi właściwie te pieniądze za sztandar? Krewetki sobie kupię? Już jadłem! Telefon do Kątów. Oczywiście zaraz przyjechali. Pięknie podziękowali i dyplom dali. Będzie Markowy sztandar wisiał w Izbie Pamięci na honorowym miejscu w Kątach Wrocławskich, gdzie jego miejsce. Jak odczytamy pierwotny niemiecki napis (realne), to wam napiszę co to było. Z ostatniej chwili: Już wiemy! Małgosia, moja niedobra córka, jakoś odcyfrowała „Grosses Werk gedeiht nur durch Einigkeit”, Maciek Stefański jakoś przetłumaczył. Wyszło jakoś tak: **„Wielkie dzieła powstają tylko wspólnym działaniem”**. Nic dodać, nic ująć. Mogłoby zostać gdyby nie ta szwabacha. Or-

ganizacji nie odcyfrowaliśmy na razie.

Prezent trzeci. Znów unikalny! Unikalny, bo nie anonimowy. Tata Marka Ślósarskiego przeżył Sachsenhausen i w więziarskim pasiaku wrócił w rodzinne strony. W tym właśnie pasiaku! Ma wisieć w Izbie Pamięci w Sieradzu, skąd Ślósarscy pochodzą, chyba żeby Marek zdecydował inaczej. Wtedy z honorami zawiśnie w Muzeum Gross-Rosen.

Jest jeszcze trzecia sprawa, którą Marek mi zlecił. Ale to może następnym razem. Kopałem skarba złą łopata, zapomniałem też, że skończyłem lat czterdzieści. Porozwalałem kręgosłup, „szarlatan” trochę pomógł, ale nie do końca. Wszystko mnie boli. Idę ostrzyć nóż do podrzynania gardła. Jak Marek, czuję jakiś oddech na plecach. Ten Wacek z Wałcza czy Wolsztyna obiecał mi pomnik naturalnej wielkości z brązu. **Za życia!** A zbierał dopiero dziesięć deko mosiądzu. Zawsze mnie wszyscy oszukiwali!

Jeszcze zipię, więc dzwońcie: 71 354 54 40



### Wojtek Stojak

Przyjaciel i wieloletni współpracownik „Odkrywcy”. Niedługo geolog, dzisiaj poszukiwacz-emeryt. Nestor polskich eksploratorów. Twórca cieszącego się ogromną popularnością, emitowanego w latach 90., cyklicznego programu telewizyjnego „Klub Poszukiwaczy Skarbowów”.